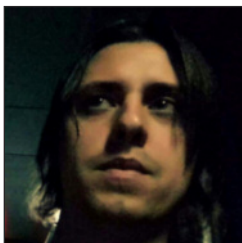


Kaznodziejstwo buntu, czyli życie i śmierć rock and rolla



MICHAŁ GOŁĘBIOWSKI

Eseista, pisarz, historyk literatury, doktorant na Wydziale Polonistyki UJ. Współpracuje m.in. z „Christianitas”, „Teologią Polityczną” oraz „Nowym Napisem”

Rock miał wybrzmiewać krzykiem pokolenia dążącego do zmian. Manifestował nową wizję człowieka, istoty kierującej się intuicją oraz zmysłami. Czy jednak nie okazał się tymczasowy i nietrwały?

Kiedy Bob Dylan pierwszy raz wystąpił na scenie z gitarą elektryczną, jego niegdysiejszy mistrz i legenda folku, Pete Seeger, podobno biegał oszalały po zapleczu, trzymając w ręku siekiere, gdyż zamierzał przeciąć kable zasilające nagłośnienie. Nieco wcześniej Elvis Presley szokował, a jednocześnie fascynował publikę rytmicznymi ruchami bioder. A to był dopiero początek. Niebawem miała bowiem nadejść słynna rewolucja obyczajowa, której ambicją było zamącenie w pozornie poukładanej codzienności. Dotąd nie spodziewano się, że można grać i śpiewać tak spontanicznie, głośno i bezkompromisowo. Dla nas dzisiaj rock jest dobrze znanym przejawem kultury popularnej. Chyba niewielu ma świadomość jego pierwotnego (a może po prostu „prawdziwego”) znaczenia oraz źródeł. I być może fakt ten potwierdza prawdziwość hasła *rock is dead*, „rock umarł”. Miał wybrzmiewać krzykiem pokolenia dążącego do zmian, czy jednak nie okazał się, podobnie jak pop-art, czymś tymczasowym i nietrwałym?

Rock and roll saved my life

Dla kontrkulturowej młodzieży lat sześćdziesiątych muzyka rockowa była prawdopodobnie głównym i najważniejszym rodzajem twórczości artystycznej. Pisano zdecydowanie mniej prozy, drukowano mniej wierszy, za to więcej śpiewano bądź występowano na hippisowskich wiecach. Wynikało to z samego pojęcia kontrkultury. Jak wiadomo, jeszcze na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych większość społeczeństwa amerykańskiego traktowało rock and roll jako młodzieżową formę rozrywki. Była to twórczość w pewnym sensie „ludowa”, przeciwstawiona poważnej i elitarnej kulturze wysokiej. Zbuntowani hippisi chętnie uczynili z niezbyt szanowanego medium swój główny środek wyrazu. Folkowi i psychodeliczni pieśniarze dość szybko zaczęli pełnić rolę kaznodziejów nowego ruchu. Pouczano, wskazywano na zagrożenia nowoczesnego świata, gromadzono „ludzi i ludziska” przy wyznawaniu jednej wiary w wyzwolenie i nawoływano do hippisowskiej „po-

kuty”, czyli do zmiany myślenia spod znaku haseł „podłącz się, dostrój się, odpadnij” (*turn on, tune in, drop out*). Najbardziej znanymi przykładami takiego kaznodziejstwa ulicy jest *The Times They Are a-Changin’* Boba Dylana oraz *Turn! Turn! Turn!* The Byrds. Ta druga pieśń, łącząc w sobie ludowe country i kosmiczną psychodelię, sparafrazowała trzeci rozdział Księgi Koheleta o tym, że „wszystko ma swój czas pod niebem” (zob. Koh 3,1), aby ogłosić, że oto właśnie nadszedł czas pokoju i wolności.

Dziś muzyka rockowa stanowi część kultury masowej. Z tego też powodu zapomina się, jak bardzo jej specyfika wynikała w latach sześćdziesiątych z nowego sposobu myślenia o człowieku. Na ogół funkcjonuje znane stwierdzenie, mówiące że rock to przede wszystkim muzyka buntu i sprzeciwu. Nie zawsze jest jednak jasne, że jej charakterystyczna żywiołowość oparta na sekcji rytmicznej oraz gitarze stanowiła w latach sześćdziesiątych gest zerwania z „kartezjańskim” pojęciem rozumu. Klimat wielkiej powojennej odbudowy Zachodu zrodził „amerykański sen” (*american dream*), który dla ludzi ceniących wolność jawił się jako prawdziwy koszmar. Pogoń za zyskiem, kult wydajności w pracy, ograniczanie rozwoju wewnętrznego do spraw koniecznych dla życia, nacisk na tworzenie wielodzietnych rodzin. Pomogło to oczywiście wydobyć Zachód z materialnego kryzysu, lecz kojarzyło się jednocześnie z Kartezjuszową tyranią abstrakcyjnego, rachującego mózgu nad zmysłami. O hippisach często mówi się zresztą, że to nie tylko „dzieci kwiaty”, ale także dzieci nieobecnych rodziców, zbyt zapracowanych, aby ukazać swoim synom i córkom sens życia. Rock and roll, w odpowiedzi na betonowy świat prosperity, miał być żywiołowy, witalny i „cielesny”. W ten

sposób manifestowano nową wizję człowieka, istoty kierującej się intuicją oraz zmysłami bardziej niż rozumowym roztrząsaniem. „Mam nadzieję, że umrę młodo”, wykrzykiwał Roger Daltrey, a chwilę później Pete Townshend roztrzaskiwał gitarę o deski sceny, twierdząc, że instrument jest dla niego tym samym, co farba dla Jacksona Pollocka.

**Bodaj ostatnim
hippisowskim akordem
w muzyce była twórczość
mało popularnej, lecz
z czasem niezwykle
znaczącej grupy Big Star**

Zmiana spojrzenia na człowieka niosła za sobą zmianę duchowości. Lata sześćdziesiąte były bowiem świadkiem wielkiego odrodzenia alternatywnych praktyk religijnych, a tworzona wówczas muzyka rockowa, zwłaszcza w jej odmianie psychodelicznej, podejmowała kwestię doświadczeń mistycznych równie często, co problematykę związaną z buntem przeciwko ograniczającym normom społecznym. Terminowanie George’a Harrisona czy Pete’a Townshenda u hinduskiego guru, Mehera Baby, to tylko jeden z wielu dowodów na religijne inspiracje muzyki rockowej. Kluczowym słowem była tutaj ekstazy jako pojęcie mistyczne, przeciwstawione wizji świata logicznie ułożonego. Jakkolwiek egzotycznie to nie zabrzmiało, kompulsywne szaleństwa rock and rolla służyły hippisom do przełamania schematów myślenia i zachowania, aby osiągnąć iluminację oraz upragnione sa-

tori, stan oświecenia, bycia „ponad”, a więc blisko Absolutu.

Neonowe stadiony

Póki trwało „lato miłości”, sytuacja była prosta: członkowie zespołów rockowych tworzyli grupę w ścisłym tego słowa znaczeniu, mieszkali razem w komunach, oddawali się spontanicznym „wpływowi kosmosu” przy pomocy narkotycznej medytacji i manifestowali swoją niezależność (Jawłowska, s. 210). Wytwórcie miały ograniczony wpływ na niebieskie ptaki z gitarami, a los wielkich formacji, takich jak The Beatles, The Rolling Stones czy The Who stanowił mimo wszystko pewien wyjątek. Komuny hippisowskie były więc cyganerią artystyczną w pełni znaczenia tego pojęcia. Zresztą nawet wspomniana „wielka trójca brytyjskiej inwazji”, mimo ogromnego komercyjnego sukcesu, sama wyznaczała trendy, do woli eksperymentując z brzmieniem i kompozycją, czemu firmy fonograficzne musiały się w dużej mierze podporządkować. Nie bez powodu po upływie ponad pół wieku The Rolling Stones pozostają najbardziej radykalną rock and rollową formacją, a The Who najbardziej innowacyjną, czego dowodzi jej wpływ na niemal wszystkie późniejsze gatunki muzyczne, od synthpopu po punk. Znana jest również anegdota mówiąca o tym, że kiedy producent drugiej płyty The Grateful Dead, *Anthem of the Sun* (1969), upomniał basistę grupy, Phila Lesh, wytykając mu niesubordynację, ten w akcie sprzeciwu zdemolował studio nagraniowe, a na stronach dokumentacji zapisał dwa wielkie czerwone słowa: „FUCK YOU”. Lesh wyjaśniał później, że musiał tego dnia obronić granice niezależności twórczej The Grateful Dead.

Rock and roll, powstawszy z powojennej cyganerii, dość szybko stał się jednak częścią ogromnego przemysłu oferującego rozrywkę. Ekstazy związana z nowym spojrzeniem na człowieka została sprowadzona do dobrej zabawy. Jest pewnym paradoksem, że forma artystyczna wyrażająca kontrkulturę, a więc wszystko to, co kojarzy się z niezależnością i indywidualizmem, zaczęła współtworzyć mainstream. Mówiąc bardziej dosadnie, rock stał się częścią biznesu. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych słuchali go zatem nie tylko mieszkańcy komun, wyraźnie oddzielających się od wielkowiejskiego zgiełku, ale niemal wszyscy, których na to stać. Bodaj ostatnim hippisowskim akordem w muzyce była twórczość mało popularnej, lecz z czasem niezwykle znaczącej grupy Big Star. Nostalgiczne westchnienia po „lecie miłości” mieszają się w niej z klimatem disco oraz power popu przeznaczonego dla lansujących przeboje rozgłośni radiowych. Pod koniec lat siedemdziesiątych wciąż powstawały, rzecz jasna, młodzieżowe ruchy, nieraz nawet bardziej radykalne w środkach od „dzieci kwiatów”, lecz samo słuchanie muzyki rockowej przestało nieść za sobą konieczność przyjmowania całego stylu życia. W te same płyty mógł się zaopatrywać punk w glanach, jak i biznesmen z aktówką. Kontrkultura przeszła w subkulturę. Umierać młodo mógł ten, kto chciał, ale muzyka rockowa przestała być jego własnością. Stała się raczej dobrem szeroko dystrybuowanym, akceptowanym przez wszystkich.

Pod koniec lat siedemdziesiątych i później wciąż pojawiały się zespoły reprezentujące awangardę, jak choćby art rockowi magicy albo nowofalowcy spod znaku Talking Heads, ale, trzeba to przyznać,

granica oddzielająca formacje przeznaczone do szerokiego grona odbiorców oraz te, które kultywowały swoją niezależność, stawała się coraz wyrazistsza. Niemniej rozświetlone neonowym blaskiem wielotysięczne stadiony pozostawały otwarte dla zespołów zarówno łatwo, jak i trudniej przyswajalnej muzyki. Na okładkach kolorowych pism oraz w reklamach pojawiali się członkowie grup produkujących radiowe przeboje, jak i tych, które rezonowały z bardziej wysublimowanymi, czy wręcz intelektualnymi zapotrzebowaniami. Nikt już nie wierzył w utopię lat sześćdziesiątych. Ciasne kluby, w których zażywano narkotyki, snuto marzenia o wolnym od alienacji społeczeństwie i uprawiano awangardę przestały być w modzie. Rock dobrze odnalazł się w kapitalizmie.

Rock is dead, they say. Long live rock!

Dynamika muzyki rockowej w Polsce nieco się różniła od rządu dusz, jaki sprawowała ona nad młodzieżą krajów zachodnich. Nasz big beat, czasem uderzający w poważne czy wręcz awangardowe tony, był dopiero próbą przyswojenia sobie osobliwej filozofii muzyki rockowej. Mieliśmy hippisów, lecz z big bitem nie wiązał się ogromny ruch na rzecz zmiany świadomości. Prawdziwie kontrkulturowym etapem muzyki rockowej okazała się więc w Polsce dopiero epoka punka oraz nowej fali. Oczywiście już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przenikały do nas hippisowskie wzorce, a wraz z nimi pewne echa rewolty młodych. Wypada jednak przyznać, że psychodelizujące rytmy Niebiesko-Czarnych albo *hippy-happy*, słoneczne piosenki Andrzeja i Elizy, to jeszcze nie to samo, co rebeliancki krzyk Lecha Janerki.

Tamto pozostawało w bezpiecznych granicach wyznaczonych przez pojęcie „pop”. Teraz jednak, w odpowiedzi na zgnębienie człowieka przez system władzy, rozpoczęła się prawdziwa kontestacja. Jednocześnie trudno powiedzieć, czy hippisowskie kaznodziejstwo całkiem odeszło do lamusa. Artyści lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych odzegnawali się od dziejowych ambicji lat sześćdziesiątych.

**Sztuczne i komercyjnie
opłacalne naśladowanie
gestów czy zachowań, które
z założenia miały być
spontaniczne, to prawdziwa
klęska współczesnego rocka**

Elektryczno-narkotyczne medytacje transcendentalne, oczekiwanie na erę Wodnika oraz zagrzewanie „ludu” do przemiany umysłu przestało być traktowane tak poważnie, jak kiedyś. Dla pokolenia punku oraz post-punku muzyka rockowa znajduje rację bytu w samej sobie. Nie potrzebuje do tego wzniosłej filozofii ani ideologii. Z drugiej jednak strony zachowano przekaz, który jest echem słynnego *wake up*, które niegdyś Jim Morrison wykrzykiwał do tłumów przychodzących na jego koncerty.

Dalsze losy rock and rolla były do przewidzenia. Jest chyba sporo racji w stwierdzeniu, że rock jest muzyką buntu. W każdym razie upływ czasu pokazał, że najlepsze dzieła tego gatunku muzyki to te, które wyrażają niezgodę albo poszukują

życia lepszego od tego, które zostaje narzucone przez konwenans. Przemysł fonograficzny zaczął jednak wchłaniać ten element rocka, sprowadzając go do pustej estetycznej formy. Łatwo zauważyć, jak żywiołowość Rolling Stonesów albo wściekłość The Who stały się dziś rezerwuarem scenicznych ruchów, które jedynie można imitować, aby wzmocnić swoją pozycję na rynku. Sztuczne i komercyjnie opłacalne naśladowanie gestów czy zachowań, które z założenia miały być spontaniczne, to prawdziwa klęska współczesnego rocka. Nie można jednak zapominać, że wciąż utrzymuje się pamięć o wartościowej artystycznej realizacji tego osobliwego rodzaju muzyki. W Polsce w dalszym ciągu żyją i tworzą członkowie grup takich, jak Kult czy Armia, a kolejne projekty audio-wizualne realizuje Józef Skrzek z SBB. Co więcej, powstają grupy, które z nostalgią wracają do starych, lecz wciąż młodych wzorców. Cały britpop to nawiązanie do

brytyjskiej inwazji spod znaku The Beatles oraz The Who. Muzycy z zespołów Phish, Kula Shaker oraz Fever The Ghost świadomie sięgają po hippisowską psychodelię. Jeżeli sięgać głębiej, można nawet natrafić na twórców radykalnej awangardy, takich jak Marcin Kłassa, którzy udowadniają, że kosmiczny art rock żyje i oczekuje na ponowne odkrycie. Może więc zataczymy koło, tak aby w dobie komercjalizacji powrócić do pierwotnego kontrkulturowego nerwu?

Już w latach siedemdziesiątych, wraz z ustaniem „lata miłości”, rock and roll wydawał się przypominać opiewaną przez kontrkulturę młodość. Szybko przemijał, a jego racje stawały się coraz bardziej infantylne. Mniej więcej wtedy Pete Townshend z The Who śpiewał: „Mówią: umarł rock” (*rock is dead, they say*), aby chwilę później wykrzyknąć: „Niech żyje rock” (*long live rock*). Może to wyraz rezygnacji, a może zapowiedź.